Nr. 7.

Kuryerek Poznański.

Rok 1.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 6 Maja 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego, ulica Strzelecka Nr. 1.

Rok 1861. w Warszawie.

Przez

Świętosława z Pasiek.

Ciąg dalszy.

Za trumną naszego kapitana szedł nieliczny orszak młodzieży i Józio z zapuchłemi od płaczu oczyma, Marya w konwulsyach na łożu boleści walczyła między życiem a śmiercią. Tuż przy trumnie szedł Zygmunt, w męzkiem oku świeciła łza, biedny sierota pokochał starego wojaka, który pierwszy podzielił się z nim poczciwem słowem i tem ciepłem serca, o które tak trudno na tym bożym świecie — a może bolał więcéj nad nieszczęściem Maryi, która zaraz w zaraniu uczuła kolce tego życia, nie zaznawszy jego słodyczy. Nad grobem kapitana nie było mów żadnych, poczciwa młodzież rzuciła garść ziemi na trumnę nieboszczyka, biedny Józio rękawami swego wojskowego mundurka ocierał łzy i pogrzeb skończył się smutnie, jak kończą się wszystkie pogrzeby, gdzie trumnę nieboszczyka otacza przywiązanie dziecięce, a nie podła chęć zysku.

Młodość wzięła ostatecznie górę nad chorobą, Marya po długiéj walce między życiem a śmiercią powstała z łoża, ale tyle boleści, tyle smutku wybiło się na téj dziecinnéj jeszcze twarzyczce, że kto znał tę szesnastoletnią dziewczynkę, toby jéj dzisiaj nie poznał, bo boleść to ma za sobą, że znaki po sobie pozostawia na długo, niekiedy nawet na zawsze, osobliwie u osób do których na czas dłuższy zawita.

Zygmunt został obecnie jedynym opiekunem naszych sierot.

Dla Maryi wystarał się o starą, bardzo zacną wdowę, która miała matkować biednéj sierocie, Józio znów jak dawniéj chodził w wojskowym mundurku do jednéj z niższych klas gimnazyum, a Zygmunt codziennie odwiedzał swych młodych przyjaciół.

Tymczasem Warszawa żyła życiem gorączkowem; młodzież krzątała się, manifestowała, śpiewała pieśni, wszystko przeczuwało w życiu narodu wielką zmianę, zdawało się bowiem, że krew owych kilkunastu ofiar zabitych na bruku warszawskim przebłaga Boga za nasze winy. Nie wiedziano albo raczéj nie chciano wiedzieć, że kiedy naród ma zmartwychwstać czysty, wolny od dawnych wad, trzeba dużo krwi i dużo łez wylać. Nie wiedziano, albo raczéj nie chciano wiedzieć, że życie narodu nie liczy się na chwilę zapału i uniesienia, ale na lata długie, lata pracy i to pracy sumiennéj. Naród żaden chwilowym entuzyazmem wolności sobie nie zdobędzie; dobry, święty jest zapał młodzieńczy, przed nim chylimy czoła, ale ten zapał wycieńczy się, zmarnieje bezowocnie, jeżeli nie spotka się na jednéj drodze z sumienną i naprzód obmyślaną pracą.

Pomiędzy młodzieżą zaczęły się zawiązywać rozmaite polityczne stowarzyszenia, Moskwa wiedziała o tem naprzód, ale Moskwa chwilowo patrzała na to przez szpary, Moskwa chciała krwi, krwi polskiéj dużo, dla tego przyczaiła się chcąc wszystkich od razu dostać w swe sidła.

Zygmunt, już to dla chartu swego charakteru, już dla owéj zimnéj krwi, która go nigdy nie odstępowała, został obrany jednogłośnie naczelnikiem jednego takiego kółka politycznego, jakich w owym czasie było w Warszawie bardzo wiele, nim się zawiązał właściwy rząd narodowy.

Smutne to dzieje, ale tak było niestety i tak być musiało. Młodzież musiała stanąć na czele ruchów, bo starsi, czy dla braku odwagi cywilnéj, czy też dla zbytniéj sumienności, pochowali się za kulisami, nie pojmując, że i zbytnia sumienność jest grzechem, bo tchórzostwem niczem niewytłómaczonem.

Marya, jakeśmy to widzieli w pierwszym numerze naszéj powiastki, zaczerpnęła w tym ogólnym wirze narodowym siły do życia, znalazła cel dla siebie, otrząsnęła się ta młoda istota z boleści, powiedziała sobie: ja będę żyć tem życiem świętem, pełnem poświęcenia dla ogółu, i ja mojemi kobiecemi rękami będę pracować, aby rozwalić potężny carat, otrząsnę się z samolubnéj miłości, umrę dla siebie, dla Zygmunta, dla małego Józia, dla moich wspomnień dziecinnych, aby odżyć we wielkiéj rodzinie narodu całego, aby błyszczeć jako męczennica za świętą sprawę narodową. Czy miała słuszność? niech sądzi Bóg, my przed zacnością téj godnéj dziewicy bijemy czołem, dziś ona błyszczy już przed tronem Wszechmocnego jako męczennica, cześć jéj popiołom!!!

Codziennie można było widzieć przed ołtarzem Matki Boskiéj w kościele Karmelitów na Lesznie klęczącą bladą dziewicę, tyle boleści, tyle zaprzania samego siebie, tyle ufności, tyle miłości bliźniego w jéj twarzy, tyle nadziemskiego szczęścia, że mimo woli przychodzi człowiekowi ta myśl: jestżeto ziemska istota, czy anioł z nieba zesłany, który cierpienia i łzy prześladowanych zbiera aby je późniéj ofiarować Temu, który go zesłał na ziemię.

Kończy się msza św., dziewica wychodzi, idzie na Stare Miasto, wysoko na trzecie i czwarte piętra, tam niesie mały datek pieniężny biednym, którzy w dniu nieszczęśliwego Lutego i nieszczęśliwszego jeszcze Kwietnia stracili członków rodziny.

Idzie daléj na Solec ponad Wisłę, tam w chatach ubogich rybaków opowiada nasienie ewangelii narodowéj, to znowu widzimy ją w pysznych pałacach na Miodowéj lub Senatorskiéj ulicy jak dla biednych braci żebrze o mały datek.

Nieraz spotka ją zamiast spodziewanego datku zimne szyderstwo lub grubsza jeszcze obelga; ona to wszystko przyjmuje z taką anielską pokorą, z taką uległością, że patrząc na to delikatne dziecko, wypieszczone, wychuchane, łzy ci się zakręcą.

Resztę dnia poświęca małemu Józiowi, a trzeba ją i tam widzieć z jaką matczyną troskliwością stara się zaspokoić wszystkie potrzeby swego braciszka, z jaką łagodnością prze-

słuchuje i poprawia jego lekcye, czasem nawet uśmiechnie się, ale wnet uśmiech znika z tych drobnych usteczek, a smutek jakiś rzewny, ten zwyczajny gość, osiada na czole dziewczęcia.

W zgromadzeniach młodzieży i tam bohaterka nasza ma głos przeważny. Wprowadzona przez Zygmunta w kółko téj dzielnéj młodzieży potrafiła od razu wyrobić sobie należny szacunek. Niewinność dziewczęcia, poświęcenie bez granic, smutek wreszcie i boleść jaka piętnowała każdy ruch dziewczęcia od razu natchnęły serca młodzieży czcią i niemem poszanowaniem; młodzież, ta młodzież warszawska śmiała w obec salonowych lwic a nawet niekiedy impertynentna, w obec tego niewinnego dziewczęcia była skromną, obawiała się nawet jednem słowem pokalać białą sukienkę szesnastoletniéj sieroty. A Zygmunt, Zygmunt patrzył się na swoją Maryą jak na świętą, jego ziemska Marya już dla niego umarła, jego Marya cała wcieliła się w ideę, za którą walczyć i ginąć było dla niego świętym obowiązkiem. Były chwile, że bolał, gdy widział swoje młodzieńcze marzenia rozbite nieubłaganą ręką okrutnego losu, ale to były tylko chwile przelotne, dosyć mu było spojrzeć na swoją Maryą, aby zaczerpnąć znowu nowego poświęcenia. O wielkie, o święte to niewiasty z których mężczyzna czerpie odwagę by nie upaść pod srogim ciosem losu.

Na jednéj z owych narad uradzono jednomyślnie, że tak dłużéj zostać nie może, że się czas traci na próżnych manifestacyach, że koniecznie trzeba iść między lud i tam ziarno wolności siać na tę nieprzygotowaną jeszcze rolę. Zygmunt udać się miał w okolicę Płocka na wsie między wieśniaków i szlachtę zagonową, inni w inne okolice, inni jeszcze mieli zostać w Warszawie; Marya miała nadal zostać w Warszawie, być jak dawniéj kwestarką i pracować nad umysłami prostaczków.

Tymczasem i Moskwa nie spała; tysiące rubli rozrzuciła między swych służalców, którzy za złoto kupczyli krwią swych braci.

Wszystkie listy z prowincyi ulegały rewizyi; listy Zygmunta co tydzień pisywane wprowadziły policyą na trop spiskowych. Słowa: „cóż tam u was słychać, czy ziarno rzucane przez was nie ginie bezowocownie? bo u nas dzięki Bogu wschodzi i zdaje mi się, że prędzéj wydać będzie mogło plon niż sądziłem“ upewniły prawie policyą o zamiarach młodzieży i wskazały Maryą jako główną agitatórkę w owém ruchu.

Długo trwała konferencya w biórze szefa policyi, czy aresztować Maryą i donieść telegrafem do Petersburga o odkryciu zamachu, czy téż przez szpary patrzeć na te młodzieńcze zachcianki..

W rządzie dobrze uorganizowanym rozśmianoby się na te dziecinne agitacye młodzieży, ale Moskwa — owa pięćdziesięciomilionowa Moskwa, owe widmo, które straszy od pół wieku już prawie swą wielkością Europę — bała się każdego najmniejszego ruchu, bo każdy ruch mógł wywołać życie, a z nim nieprzewidziane skutki. To téż zamiast puścić mimo owych spiskowych, na których czele stała siedemnastoletnia dziewczyna, rozporządziła nadzwyczajne kroki ostrożności, dziesiątkiem szpiegów otoczyła naszą bohaterkę, a Zygmunta kazała uwięzić w twierdzy Modlińskiéj.

W jednéj z takich pielgrzymek została również Marya aresztowaną w chacie rybaka na Solcu. Całym dowodem jéj zbrodni było, że zgłodniałéj familii przyszła w pomoc, że zostawiła aż dwa ruble i dziewiętnastoletnim dorostkom dała książkę wydaną dla ludu w Paryżu, pod tytułem: „Słowo Boże.“ Wielka zaiste zbrodnia! Ważny powód do aresztowania niewinnéj dziewicy. Zaprawdę, czytając te słowa trudno czemuś podobnemu wierzyć, a jednak tak było niestety! Rosya w obec owych wypadków okazywała się ciągle niedołężną, słabą, dziecinnie dumną i zarazem azyatycko okrutną. — Wszystkie jéj rozporządzenia są tak dzikie, tak okrutne, a zarazem tak przesadzono dziecinnie śmieszne, że doprawdy musielibyśmy uwierzyć, że rosyjscy statystycy, mężowie stanu potracili głowy.

Obok téj dzikości jakże jaśnieje nieziemską bohaterskością. Polska, owa niewolnica skuta łańcuchami, o któréj Rosya i płatni agenci rozgłosili, że już nie żyje, że Polska to tylko widmo pokutujące w umysłach szalonych fanatyków; jakiż cudowny instynkt w owéj młodzieży polskiéj, nad którą trzydzieści przeszło lat pracowano, aby ją zbłaźnić, jaka niesłychana wytrwałość czynu; wszakże każdy krok, który Rosya uczyniła, naprzód okrywa ją śmiesznością, aresztują młodzież, starców, dzieci, kobiety, jednèm słowem wszystkich; czemu? bo wszyscy spiskują, spiskują ubiorem, modlitwą, śpiewem, myślą, a każdy krok, który Rosya czyni, by zapobiedz spiskom, kompromituje ją tylko. Ogłoszenie w rosyjskich naprzykład gazetach: dziś aresztowano Maryą Z., która stała na czele spiskującéj młodzieży, czyż nie dowodzi prawdy słów naszych? a jednakowoż słowa te nie są czczym wymysłem powieściopisarza, czytać je każdy może w urzędowym Dzienniku powszechnym, obok nich znajdzie tam inne temu podobne. Dziwne zaiste to były czasy!

Ciąg dalszy nastąpi.

Wspomnienia
z kampanii roku 1830. i 1831.

przez

Wincentego Pola.

Ciąg dalszy.

Każdy Litwin oszczędza bardzo naboju, wszakże gdyśmy wszyscy prócz niego zamoczyli byli broń, wypalił on ze swéj strzelby na wiatr trzy razy i ujrzeliśmy naprzód coś majaczącego po brzegu a za chwilę późniéj dwie łodzie na czystém zwierciedle; jeziorny nasz uśmiechał się tylko i na ochotę wypiliśmy resztę wódki, ale jakież było zadziwienie nasze gdy łodzie nie ku nam płynęły, ale widocznie w innym kierunku okrążały nas. Jeziorny spuścił tykę, zdjął z niéj mundur, zawiesił na niéj dwa więcierze i podniósł ją znowu w górę; na ten znak zwróciły się łodzie i leciały pędem prosto ku nam; na pierwszéj robiła wiosłem dziewczyna, była to córka naszego przewodnika, a na drugiéj łodzi wiosłował stary ojciec jego. Z razu ujrzawszy znak obawiali się czy to nie Moskale żądają ratunku, ale ujrzawszy więcierze wiedzieli o tém że tylko jeziorny mógł wiedzieć o nich i że on znak daje do brzegu. W łodzi przywiozła córka ojcu żywność, gorzałkę i bieliznę. Pogłaskał dziewczynę, przebrał się, poczęstował nas, i na pierwszéj łodzi wiosłując odbił od kępy. Słońce paliło niesłychanie

i z sukni naszych szła para, a po chłodnéj kąpieli nastąpiła parna. Jakaż była radość gdyśmy przybyli do brzegu, powitało nas grono powstańców, znajomi i nieznajomi ściskali cudownie wybawionych i było się gdzie obsuszyć i było czém posilić, zwłaszcza gdy wieść już była tu doszła, przez puszczę podana, że i legion akademików wileńskich i powstanie trockie przebiło się przez linję bojową bez szwanku. Jeszcze tego samego dnia dostaliśmy się do obozu księcia Ogińskiego, a tu doszła nas wieść że wojska polskie są już na Litwie i że się lada chwila połączymy z nimi. Zebrawszy się nanowo po rozprószce, ruszyliśmy w pochód na spotkanie wojska polskiego, którem jenerał Chłapowski dowodził. Moskale wszakże nie dawali nam ani chwili oddechu i co kilka godzin przychodziło tylnéj straży spotykać się z Czerkiesami. Tylko lesista okolica zasłaniała nas przed śmiałem natarciem. W wskazanym wszakże kierunku maszerując wyszliśmy na bezleśne okolice, a co najgorsze że się tu przez rzekę przeprawić wypadało całemu legionowi, znacznie już powiększonemu w owym czasie liczbą ochotników.

Wysłany w kilka koni przódy przypadłem do brzegu gdzieśmy mieli prom zastać — rzeka mogła być na kilkadziesiąt kroków szeroką, ale była tak błęboką że w bród przeprawić się przez nią było niepodobieństwem. Nad drogą prowadzącą do przewozu stała chata przewoźnika, zapukałem do okna i wyszedł człowiek nieco strwożony, ujrzawszy wszakże że to swoi, uspokoił się i rzekł:

— Wiedziałem że tu będziecie — jeszcze wczoraj rano płynęły tu wodą kawałki promu nabite żabkami, pomyślałem sobie że to Moskale rąbią prom i zakopałem linę, jakoż wpadli późniéj, wyrąbali w promie dziury i zatopili go kamieniami.

Rzekłem mu na to że przeprawić nas musi i niech myśli o sobie. Pomyślał chwilę, spojrzał po wodzie i po chacie i rzekł stanowczo:

— Ha, to wam chyba chatę rozbiorę.

I wszedł do izby, wziął siekierę, rzekł do żony słów kilka po litewsku, wyszedł potém na dach i począł odbijać dranice. Z płaczem wyszła żona z dwojgiem dzieci, nie mówiąc i słowa związała jeden i drugi tobołek, wyniosła kilka naczyń i złożyła to w krzakach nad brzegiem rzeki.

— A wielu was jest?

— Będzie do tysiąca, odpowiedziałem.

Zatrwożył się i pokiwał głową, ale nie ustawał w robocie i po niedługim czasie była już połowa dachu z dranic odkryta.

Tu nadciągnęła straż przednia, a gdy się dowiedziano że na spławach zrobionych z chaty mamy przejść rzekę, rzucili się żwawo wiarusy do zrzucenia krokiew, do połowy jeszcze dranicami nakrytych, i w mgnieniu oka poczęto rozbierać zrąb chaty.

— Czego tam stoicie? zawołał nasz przewoźnik na kilku legionistów; nałóżcie ogień, narąbcie długich wici i rozparzcie je nad ogniem, bo trzeba wici narobić do spławu.

Tylko dwóch Litwinów zrozumiało go, a on tymczasem kazał znosić drzewa i układał tuż nad wodą po cztery sztuki na sposób mostu i począł je wiązać wiciami; w przeciągu tego czasu zbliżyła się już druga kompania legionów, a że przynajmniéj co trzeci człowiek miał siekierę z sobą, rzucili się świadomi rzemiosła do roboty i we dwóch godzinach pływał już pomost po rzece, przytwierdzony wiciami do liny, którą przewoźnik przepłynąwszy z jednym końcem na drugi brzeg rzeki, przywiązał u słupa. Gdy most już stanął, przebiegł po nim lekko, i woda pluskała po spławach. Wróciwszy do nas rzekł:

— Nie pchajcie się tylko na most, to się przeprawicie.

Jakoż stanęła straż i trójkami tylko w pewnych odstępach przeprawiał się legion przez rzekę. Widząc poświęcenie człowieka, bez którego pomocy potyczkę by stoczyć wypadało mając w plecach rzekę, pragnęli wszyscy tego aby naprzód żona jego i dzieci byli uratowani, ale on rzekł:

— Póki ja na tym brzegu, niech i oni zostaną.

Jakoż przeszedł on ostatni z żoną i dziećmi po moście: wrócił potém, odwiązał linę od brzegu, na którym z chaty jego tylko piec pozostał, a puściwszy spław z wodą, spłynął do naszego brzegu, razem z całym pomostem, który przy drugim końcu był upięty na linie.

Obawiając się aby na tym samym pomoście Moskale nie przeprawili się za nami, chcieliśmy przeciąć wici pojedyńczych spławów i spuścić z wodą.

— Dobrze, dobrodzieje moi, ale co będzie jak jeszcze nasi przybędą do brzegu — jak ich przeprawimy? Może pomost będzie jeszcze potrzebny.

Znaczna część legionu była już w dalszym pochodzie, a nad przewozem stanęła placówka, ukryta w krzakach po nad rzeką. Jakoż ukazali się po chwili Czerkiesi, lecz ujrzawszy pomost, obawiając się zasadzki nie dojeżdżali do brzegu. Legion został w ten sposób uratowany. W parę godzin późniéj pokazały się działa z jazdą po tamtéj stronie rzeki, przewoźnik z dziećmi i żoną poszedł razem z placówką, którą przed wieczorem ściągnięto, wziąwszy linę z sobą i puściwszy wprzódy pojedyńcze spławy z wodą. W tym legionie był kwiat litewskiéj młodzieży i ziem ruskich, a ci którzy jeszcze z nich żyją przypomną sobie zapewne przewoźnika, co rozebrał swą chatę na pomost. Ale co się z przewoźnikiem stało? Kto liczy jego zasługi, kto jego ofiarę!?

II.

Jeździłem polem i wzgórkami w jedną i drugą stronę. Nagle ukazała mi się wideta, która znać już i mnie spostrzegła. Był to jezdny — chorągiewka była biała z czerwoném.

Więc swoi — pomyślałem i jechałem ku widecie stępą. Jeżeli Moskale, pomyślałem, to jeszcze ujść zdołam — jeżeli swoi, nie ma czego.

I w tejże chwili dopatrzyłem że jezdny miał białą krakuskę na sobie.

Widząc że się do niego bez trwogi zbliżam, stał w miejscu; ale nim jeszcze do niego dojechałem, wybiegło już kilku krakusów od placówki z oficerem na czele i puścili się cwałem ku mnie.

— Swój! krzyczał oficer z daleka.

— Swój, odpowiedziałem, nie dobywając pałasza.

Oficer ten od krakusów był to młody, przystojny człowiek. Powitał mię bardzo uprzejmie i po pierwszych kilku słowach, kiedy mu pokazałem odcisk pieczęci generała Chłapowskiego, podał mi po bratersku manjerkę i począł ubolewać nad koniem moim, po którym bardzo znać było tę przebytą drogę.

Spytałem ktoby korpusem dowodził?

Uśmiechał się i rzekł mi:

— A o tém się, kolego, nie dowiesz u placówki. Proszę do dowódzcy z sobą.

Nie daleko nad brzegiem stała szopa. Oficer od placówki kazał mi się zatrzymać, wziął odcisk pieczątki i zameldował moje przybycie.

Po chwili wstąpiłem do szopy. Człowiek ponurego, podejrzliwego wejrzenia siedział przedemną na zydlu. Był ubrany w mundurowym surducie bez szlif; nie mógłem przeto poznać jakiego by był stopnia wojskowym. Wrota wyważone z szopy służyły za stół. Na nim leżała karta rozłożona, jakieś papiery i kilka worków z pieniędzmi.

Zameldowałem się i mówiąc z czyjego rozkazu przychodzę, powtórzyłem te wszystkie zapytania, które mi polecił jenerał Chłapowski.

Dowódzca obejrzał pieczątkę a wpatrując się w mapę i nie patrząc na mnie słuchał moich zapytań. Zmarszczył się potém i rzekł:

— Ja na to nic odpowiedzieć nie umiem.

Powtórzyłem tedy bardzo wyraźnie po raz drugi wszystkie zapytania, na co rzekł mi w końcu:

— Ja nie stoję pod niczyją komendą, i nie mam panu nic do powiedzenia. Zresztą na pojedyńcze pytania co do tego czy pójdę na Litwę, czy tu zostanę, mógłbym odpowiedzieć: Nie wiem i może.

Odpowiedź jego była tak opryskliwa iż rzekłem:

— Wybacz mi dowódzco, ale ja z odpowiedzią: Nie wiem i może do generała wracać nie mogę.

— A czegoż pan chcesz?

— Odpowiedzi — odpowiedziałem dosyć zniecierpliwiony.

Wstał, spojrzał mi w oczy i rzekł:

— Dla czegoż to jednego generał posyła?

— Wyciągnąłem kresy i mam przesłać generałowi raport przed zachodem słońca.

— To pisz pan swój raport, — i wskazał mi na wrota przed nim leżące, gdzie był papier i kałamarz.

— Jestem pułkownik Zaliwski — napisz żeś mię widział, i dodaj do raportu odcisk pieczątki, który przywiozłeś, a ja sam napiszę od siebie depeszę do generała.

Klasnął w dłonie i oficer od krakusów wszedł do szopy.

— Patrol nasza odprowadzi tę posyłkę do pierwszych kresów, a ja dam depeszę.

Udałem się tedy z oficerem od krakusów na jego kwaterę i ledwo że mój koń osechł i zjadł obrok, przysłał pułkownik depeszę i puściłem się w dalszą drogę. Oficer od krakusów był to brat młodszy Adolfa Cichockiego. Po pendencie biało lakierowanym, który nosił, podobnym zupełnie do tych jakie w owym czasie austryaccy oficerowie od jazdy nosili, domyślałem się, że się w Galicyi ekwipował. — Ucieszył się bardzo gdym mu powiedział że i ja jestem w Galicyi i w przeciągu niespełna dwóch godzin zawarliśmy tę szczerą przyjaźń żołnierską, którą dopiero śmierć kończy. Przeprowadził mię do placówki, i rzekł mi na rozstaniu:

— Patrol, który cię kolego odprowadza, ma rozkaz strzelić ci w łeb, gdyby nie znalazł żołnierza na najbliższych kresach, który ma odnieść depeszę.

Rzekł mi to pod sekretem, ale rzeczywiście widziałem że podoficer od krakusów, który patrol prowadził, nie odstępował mię na krok i patrzył na mnie podejrzliwie.

Na najbliższych wszakże kresach siedział już na koniu poczciwy mój Półtorak, który się z bardzo ciężkiem sercem rozstawał z gościnnym dworem. — Ja oddałem mu mój raport. Podoficer oddał mu raport pułkownika — i ruszył z kopyta: patrol konwojował go jeszcze kilka staj, i nie wracał już tą samą drogą — a ja pozostałem we dworze, mając przekonanie żem dopełnił rozkazu mego generała.

Ciąg dalszy nastąpi.

Rozmaitości.

U znanego antykwarza J. Lisnera wyszedł i jest do nabycia „Życiorys wszystkich sławniejszych poetów polskich.“ Książeczka ta obok praktycznéj strony odznacza się jeszcze nader staranném wydaniem. Oprócz tego przy każdéj książeczce są fotografie poetów, których życiorysy są w niéj objęte.

Ceny targowe w Poznaniu 3. Maja. 1865.

	Od tl.	Od sr.	Od fn	Do tl.	Do sr.	Do fn
Pszenica piękna, szefel po 16 garncy	2	3	9	2	7	6
Pszenica średnia	2	—	—	2	2	6
Pszenica ordynaryjna	1	25	—	1	27	6
Żyto przednie	1	12	6	1	13	9
Żyto lżejsze	1	10	—	1	11	—
Jęczmień duży	—	—	—	—	—	—
Jęczmień mały	—	—	—	—	—	—
Owies	—	—	—	—	—	—
Groch do gotowania	—	—	—	—	—	—
Groch na paszę	—	—	—	—	—	—
Rzep zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzep latowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik latowy	—	—	—	—	—	—
Tatarka	—	—	—	—	—	—
Koniczyna czerwona, cent. 100 fnt.	—	—	—	—	—	—
Koniczyna biała	—	—	—	—	—	—
Ziemniaki, szefel	—	14	—	—	15	—
Masło, garniec	2	15	—	2	20	—
Siano, centnar	—	—	—	—	—	—
Słoma, kopa po 100 fnt. w. z. c.	—	—	—	—	—	—
Olej rzepiowy, cent. po 100 fnt.	—	—	—	—	—	—
Spirytus, beczka 100 kwart, 80 st. Tral.	12	18	9	12	22	6

Prenumeratę na Kuryerka Poznańskiego przyjmują: **Redakcya**, ulica Strzelecka Nr. 1.; p. kupiec **Kirszenstein**, ul. Wrocł.; p. księgarz **Rejzner**, ul. Wodna i narożnik Garbar; p. prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; p. kupiec **J. Affeltowicz**, Chwaliszewo; p. kupiec **Cichowicz**, ul. Berlińska; p. **M. B. Dębiński i Sp.**, ul. Piaskowa Nr. 2.; p. **Dębiński**, organista arhidyecezyalny w psałteryi przy Tumie; p. **Ernest Malade**, ul. Frydrychowska Nr. 19.; kupiec p. **P. Nowicki**, ulica Wrocławska Nr. 9.; również **wszystkie księgarnie zamiejscowe.**

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni M. Zoerna w Poznaniu.